

GRZECH I ŁASKA W LITERATURZE: GRAHAM GREENE I EVELYN WAUGH

Moc i chwala Grahama Greene'a pochodzi z roku 1940, a *Powrót do Brideshead* Evelyną Waugh z 1945 roku. Choć obie te powieści powstały w tym samym mniej więcej czasie, wybrałem je raczej z innego motywu: ich swoistej odrębności, omawiając bowiem ten sam temat, jakim jest grzech i łaska, obie te książki wykazują dwa zdecydowanie odmienne sposoby podejścia do tematyki religijnej, a konkretnie: katolickiej.

Powiem wprost i bez ogródek, że Graham Greene „chwyta byka za rogi”, to znaczy: porusza bezpośrednio, w sposób dosyć wyraźny, problematykę katolicką; natomiast Evelyn Waugh ukrywa ją przynajmniej w znacznej części swej powieści. Są to więc dwa całkowicie odmienne sposoby opowiadania, chociaż mają – moim zdaniem – identyczny punkt wyjścia.

1. Gdy chodzi o powieść *Moc i chwala*, to trzeba przede wszystkim przypomnieć, że Graham Greene doświadczył na własnej skórze znacznej części swego opowiadania. Ten angielski pisarz zechciał bowiem udać się wraz ze swą żoną do Meksyku w 1936 roku; w tym czasie jednak Meksyk był jeszcze rewolucyjny, co stanowi tło powieści, i trwało w nim w dalszym ciągu to paradoksalne położenie, że mianowicie ludność, naród głęboko katolicki, doznawała wielkich prześladowań ze względu na swą przynależność do Kościoła i katolicyzmu.

Graham Greene odbywa długą i pełną przygód podróż, niekiedy siedząc także na grzbiecie muła, aż przybędzie do niewielkiej zagubionej krainy Chapas, do miasteczka Las Casas, gdzie w Wielki Czwartek, pomimo oficjalnego zakazu odprawiania Mszy świętej i sprawowania

* Giorgio Montefoschi urodził się w Rzymie w 1946 roku, gdzie mieszka i pracuje. Jako pisarz współpracuje z *Corriere della Sera*. Jest autorem wielu powieści, m.in.: *Ginevra*, *Il museo africano*, *L'amore borghese*, *La terza donna*, *La porta di Damasco*, *La casa del padre*, *Non desiderare la donna d'altri*, *Il segreto dell'eterna felicità*.

Eucharystii, za przekroczenie którego uwięziono już wielu księży w całym kraju, zgromadziła się wielka rzesza wiernych, aby przyjąć komunię św. i odprawić wszystkie ceremonie wielkoczwartkowe.

Z tego doświadczenia Autora wypływały dwa fakty bezpośrednio związane z powieścią, którą wkrótce potem napisze. Pierwszym z nich była podróż na grzbiecie muła, którą Greene potrafił znakomicie opisać dzięki swemu trudnemu i tak bardzo osobistemu doświadczeniu: główny bohater powieści podróżuje faktycznie zawsze w taki sposób. Drugim faktem była Eucharystia: bardzo wzruszająca Msza święta, która poruszyła nim dogłębnie.

Główny wątek powieści jest równocześnie złożony i bardzo prosty.

Bohaterem jest podły i bardzo nisko upadły kapłan, którego spotykamy zaraz na początku jako uciekiniera (nawiasem warto przypomnieć, że oparty na tej powieści piękny film Johna Forda nosił w oryginale tytuł *The fugitive*, który przetłumaczono, nie wiadomo dlaczego, w wersji włoskiej na *La croce di fuoco*).

Jest to ksiądz potrójnie upadły: najpierw z tego powodu, że uległ w pewnym bardzo przelotnym momencie pokusie cielesnej i związał się z kobietą, z którą ma córkę; drugim powodem jego nikczemności stało się jego uzależnienie od alkoholu: trzyma przy sobie zawsze flaszkę wina mszalnego, ale jest zainteresowany także innymi trunkami, zwłaszcza tequila, whisky, ginem i piwem. Trzecim wreszcie powodem jego grzeszności jest tchórzostwo. To nie jest człowiek odważny; nie trzymał się więc z innymi, nie miał bowiem siły stawić się przed plutonem egzekucyjnym; jest tym właśnie uciekinierem, którego spotykamy w momencie jego ucieczki.

Prawdopodobnie największa niejasność związana z tą ucieczką wyraża się w scenie, w której ten kapłan przychodzi do jednej z wiosek i tam się ukrywa. Pojawia się bowiem Gwardia Narodowa wraz z policją, grożąc, że jeśli znajdą tutaj ukrywającego się kapłana, to zemszczą się krwawo na ludziach, oraz komunikują, że są już ofiary śmiertelne. Ludności miejscowej grozi więc niesłychanie wielkie niebezpieczeństwo. W obliczu tego niebezpieczeństwa ten kapłan nie ma nawet odwagi uznać swej własnej podłości i wyjść z ukrycia, poddać się katuszom, poświęcić się, by uratować innych. Z moralnego punktu widzenia jego postawa jest więc zdecydowanie naganna.

Powieść opowiada obszernie o tym ustawicznym uciekaniu, połączonym z całą serią towarzyszących mu elementów narracyjnych: ucieczki, zdrady, zasadzki, pułapki, które teraz, by się nie rozwodzić, pominię. Chodzi tu bowiem tylko o poznanie drogi grzesznika.

Człowiek ten, niezwykle interesujący, nie ma nawet imienia. Kapłan ten nie został ani razu nazwany (skądinąd jest to niezwykła zrzętność Autora, który pisząc 300-stronicową powieść nie podaje ani razu imienia czy nazwiska głównego jej bohatera). Jest Panem Nikim (Nikt) także w spisie mieszkańców. Ten człowiek bez nazwiska i imienia nosi jedynie przy sobie flaszkę z winem, która stopniowo się wyczerpuje.

A przecież mimo wszystko, pomimo znanych i nieznanych grzechów tego człowieka, zaczynają stopniowo, w ciemności tych chat, w których się ukrywa, zjawiać się u niego wieśniacy, górale, prosząc go o spowiedź, o udział we Mszy świętej, a zwłaszcza o to, by odprawił im Eucharystię.

W końcu droga naszego kapłana osiąga kulminacyjny punkt dramatyczny: na skutek zdrady zostaje on schwytany i jest torturowany, przy czym Greene z wielką inwencją narracyjną opisuje samą scenę rozstrzelania przez pluton egzekucyjny, chociaż w powieści miał ją opisać dentysta, który oglądał to wydarzenie poprzez niewielkie okno ze swojego mieszkania.

My, czytelnicy, wiemy jednak dobrze, co się działo w nocy poprzedzającej tę egzekucję kapłana, który – można by tu się posłużyć słowami liturgii: „On bowiem tej nocy, której był wydany...” – przeżywał dokładnie całe swoje życie, a gdy świtał już ranek, w którym miał wyjść na miejsce stracenia, wypowiedział takie oto słowa: „O Boże, żałuję i proszę zmiłowania za wszystkie moje grzechy... Ukrzyżowany... zasługuję na wszystkie Twe okropne kary”¹.

A potem jeszcze powiedział: „Nie zrobiłem nigdy nic dla nikogo. Równie dobrze mogłem być nigdy nie żyć” Autor zaś to komentuje: „W tej chwili nie obawiał się potępienia... nawet obawa przed bólem ustąpiła na dalszy plan. Czuł się tylko ogromnie zawiedziony, że musi iść do Boga z próżnymi rękami, że w ogóle nic nie zdziałał. W tej chwili wydawało mu się, że całkiem łatwo można było zostać świętym. Wymagało to tylko odrobiny kontroli nad samym sobą i nieco odwagi. Czuł się jak ktoś, kto utracił szczęście tylko dlatego, że spóźnił się o parę sekund na wyznaczone miejsce. Wiedział teraz, że w ostatecznym rozrachunku jedna tylko rzecz się liczy – świętość”².

Potem dentysta spogląda przez okno i widzi, jak kapłan umiera. Czy ten bohater *Mocy i chwały* był człowiekiem świętym? Chyba nie! Ale przecież umiera poświęcając się, powtarza ofiarę Chrystusa, którą faktycznie składał przez całą powieść. Graham Greene mówi coś

¹ G. Greene, *Moc i chwała*, tłum. B. Taborski, Instytut Literacki, Paryż 1956, s. 232.

² Tamże.

wspaniałego: „składa Boga w usta wiernych”, a ta możliwość udzielania komunii św., czyli fakt, że ten ostatni z porzuconych staje się pomostem umożliwiającym wkładanie Boga w usta innych, ma – jak mi się wydaje – najgłębszy sens w tej powieści, chce bowiem powiedzieć, iż Bóg nie opuszcza nikogo, że Bóg wybiera także bardziej podłych grzeszników, aby móc przekazywać dalej swoje orędzie.

François Mauriac napisał bardzo piękne zdanie (krytycy francuscy zapowiadali sukces tej powieści, która musiała czekać w Anglii dobrych dziesięć lat na wydanie): „Graham Greene wniknął jakby przez włamanie się w nieznanne królestwo natury i łaski, żadna partia nie zakłóciła jego widzenia, żaden nurt ideowy nie odwiódł go od odkrycia tego nieba, jakie znalazł on niespodziewanie, nie miał on bowiem żadnej uprzedniej koncepcji tego, kogo nazywamy złym kapłanem; można by też śmiało powiedzieć, że w jego umyśle nie ma żadnego wzorca świętości, a jest tylko zepsuta natura i łaska w całej swej potędze, jest człowiek nędzny aż po zło i ta miłosierna miłość Boga, która go przenika dogłębnie w jego największej nawet nędzy i w jego pohańbieniu, aby go uczynić świętym lub męczennikiem”

Święty lub nie święty. Słowa Grahama Greene są – według mnie – przepiękne, podobnie jak wspaniałe jest pojęcie Boga, który nikogo nie opuszcza, a także łaski, która zstępuje na grzesznika, oraz grzesznika wybranego po to, by „składał Boga w usta” innych.

W Anglii, jak powiedziałem, trzeba było czekać aż dziesięć lat na sukces powieści, gdy tymczasem we Francji zakwestionowali ją biskupi francuscy. Potem doniesiono ją także do Świętego Oficjum, które ją potępiło za ukazywanie sytuacji paradoksalnych. Po upływie wielu lat Graham Greene udał się z wizytą do papieża Pawła VI i powiedział do niego: „Wasza Świątobliwość, przybywam, chociaż moja powieść została potępiona przez Święte Oficjum”. – „Kto ją potępił?” – zapytał Papież, a Greene odpowiedział: „Kardynał Pizzardo”. Na to Papież zaśmiał się ironicznie i powiedział: „Panie Greene, niektóre partie Pańskiej powieści nie mogą nie obrażać niektórych katolików, ale Pan nie powinien przywiązywać do tego żadnego znaczenia”

2. Jak już wspomnieliśmy, Evelyn Waugh napisał interesującą nas powieść w roku 1945. Przebywał wówczas we Włoszech i wędrował, ale zupełnie inaczej niż czynił to Greene siedząc na grzbiecie muła, a także inaczej niż czynią to zazwyczaj Anglicy: jako „super snob” chodził własnymi drogami, nie przekraczając na przykład nigdy „linii gotyckiej”. Nie widział więc takich miejsc, jak: Arno, Florencja i wszystkie inne, znajdujące się poza tą linią.

Przypominam sobie, że zapytałem kiedyś Attilio Bertolucci'ego, który przebywał razem z Waugh w Parmie, co sądzi o nim. Bertolucci odpowiedział mi swoim śpiewnym i zaokrąglonym głosem, którego nie starałem się nigdy choćby trochę odtworzyć: „Ach, był on bardzo sympatyczny, codziennie rano chodził na Mszę św., a potem jedliśmy razem śniadanie, ja, on i Acton, o godz. 8.30 pod parasolem na placu Parmeńskim z butelką wina”. Zapytałem go wówczas, kto był bardziej elegancki: Acton czy Waugh, a on odpowiedział, że Acton. Przytoczyłem tę poranną historię, albowiem charakteryzuje ona dobrze typowego brytyjskiego tradycjonalistę katolickiego. Brytyjcy katolicy są najbardziej konserwatywni i najbardziej przywiązani do swej wiary, bardzo uważni na liturgię i kult, o wiele bardziej od wszelkiego naszego wyobrażenia w tej kwestii. Nie są aż tak liczni, ale są właśnie tacy.

Wątek powieści (którą uważam za jedną z najpiękniejszych powieści XX wieku) jest następujący: oto człowiek niewierzący, Charles Ryder, narrator, przybywa na dłuższy pobyt do położonej na wsi willi Brideshead, należącej do szlacheckiej rodziny Marchmain. Ryder zaprzyjaźnia się z synem tej rodziny Sebastianem, który ma dwie siostry: Giulię i Cordelię, i oczywiście dwoje rodziców, przy czym jego ojciec lord Marchmain jest człowiekiem niewierzącym, antyklerykałem, a ponadto ma jeszcze kochankę, która mieszka w Wenecji.

W tej właśnie willi dzieje się to, co się dzieje na ogół w wielkich wiejskich willach w angielskiej literaturze ostatnich dwóch stuleci: dużo herbaty, wiele zieleni, liczne łąki, wielki park, wycieczki łodzią, drzewa, wiele wina i liczne rozmowy. Rozmowy dotyczą przeważnie spraw mało ważnych, poruszanych jedynie celem zabicia nudy, nie powinny więc być siłą rzeczy zbyt zobowiązujące. Pojawia się w nich jednak systematycznie problem modlitwy: ile trzeba zmówić modlitw, jeśli się nie zmówiło ich wieczorem, czy trzeba je odmawiać na klęczkach, czy należy je odmawiać w ten lub inny sposób... I dochodzi do tego, że rozmowa na tematy związane z praktyką religijną staje się wyraźnie rozmową czysto „świecką”, podobną do wielu innych rozmów na różne tematy (Autor jest tu znakomity w „mieszaniu wód”). Mówi się więc o modlitwie tak swobodnie, jak się mówi na przykład o mieszaniu różnych rodzajów herbaty czy też o nadmiernym wypiekaniu biszkoptów...

Wątek się rozwija i widzimy, jak Sebastian staje się alkoholikiem, a jedna z jego siostr, Giulia, poślubia polityka. Również Charles Ryder zawiera małżeństwo i oba te małżeństwa, zgodnie z najlepszą tradycją

powieści Evelyn Waugh, szybko się rozpadają, chociaż z wielkim nawet wdziękiem. Są to zresztą małżeństwa pełne zdrad, podobnie jak w poprzednich jego powieściach (jak choćby w *Garści prochu*).

Potem podczas przepięknej podróży przez Atlantyk z Londynu do Nowego Yorku spotykają się dwaj rozwiedzeni: Charles Ryder i Giulia, stają się kochankami, chcą się pobrać, wracają do Anglii.

Minęło wiele lat. Sebastian się zagubił, stara matka Lady Marchmain umarła, wielki gmach odziedziczony po przodkach zdaje się być już zapomniany, kiedy to zatwardziały libertyński grzesznik, lord Marchmain, po swej podróży do Wenecji wraca ze swoją kochanką, aby umrzeć w Brideshead. Mamy tutaj sam szczyt i *clou* tej powieści.

Spotykamy bowiem w tej scenie narratora, Giulie i różnych krewnych, zgromadzonych przy łożu umierającego Lorda Marchmaina. Pojawia się także tutaj kwestia praktyki religijnej: chodzi o ostatnie namaszczenie. Czy można wezwać księdza, jak tego by chcieli wszyscy katoliccy przedstawiciele rodziny? Doktor, po podaniu umierającemu butli z tlenem, przeciwstawia się temu twierdząc, iż Lord jest człowiekiem niewierzącym, nie wierzy w Boga, a narzucony mu siłą obrzęd namaszczenia mógłby wywołać u niego prawdziwy szok. Mamy więc potem dysputę, która jest szarpaniną, przytaczaniem racji za i przeciw, aż wreszcie jego córka Giulia bierze sprawę w swoje ręce: otwiera drzwi i wprowadza księdza, aby udzielił choremu sakramentu namaszczenia. Jest to scena zdecydowanie niezwykła, albowiem kapłan błogosławi najpierw Lorda, który ma zamknięte oczy. Odczuwa się jedynie w tym pokoju swoisty szum aparatu podającego tlen i obecność jakby zmarłego już Lorda.

Evelyn Waugh pisze: „«Teraz» – recytuje ksiądz (po błogosławieństwie) – «wiem, że żałowałaś za wszystkie swoje grzechy popełnione w ciągu swego życia, czy to prawda? Uczynź znak, jeśli możesz, aby pokazać, czy naprawdę żałujesz». – Nie było jednak żadnego znaku” Potem ksiądz mówi po łacinie, a narrator stwierdza: „wypowiedział słowa: *Ego te absolvo in nomine Patris...* i zobaczyłem, jak ksiądz uczynił znak krzyża. Potem i ja ukląknęłam i się modliłam: «Boże, jeśli jest Bóg, wybac mu grzechy, jeżeli istnieje coś takiego, jak grzech»” Lord Marchmain zamyka oczy i słyszy się tylko jego oddech. Narrator chce ujrzeć ten gest (uważamy, że on także jest człowiekiem niewierzącym, który zgiął jednak kolana i zwraca się do Boga) i prosić Boga za niewiastę którą kocha, powtarza więc słowa modlitwy: „Boże, wybac jej grzechy”, ale nie ma żadnego znaku. Wtedy ksiądz bierze ampulkę z oliwą i namaszcza czoło umierającego. A oto słowa powieści: „od

razu Lord Marchmain podniósł rękę do czoła; myślałem, że odczuł wilgoć oliwy i chciał ją wytrzeć ze skóry. «O, Boże» – błagałem – «nie pozwól mu tego uczynić». Ale obawa ta była zbyteczna: ręka opadła spokojnie na piersi, a następnie na ramiona i Lord Marchmain uczynił znak krzyża. Poczulem wówczas, że znak, jaki wywołałem, nie był jakąś tam drobnostką, czymś więcej od zwykłego znaku pozdrowienia, i przypomniało mi się zdanie zapamiętane w dzieciństwie o zasłonie świątynnej rozdartej od góry do dołu. Skończyło się, wstańmy”

Tak się kończy powieść, w której ponownie, podobnie jak w powieści Grahama Greene, łaska zstępuje na tę ostatnią z postaci, jaka mogłaby coś sobie wysłużyć, aby ukazać, że Bóg nie czyni różnicy i daje łaskę, komu zechce.

W jednym ze swoich wystąpień Guido Almansi zechciał przypomnieć i podkreślić sąd wydany przez Edmunda Wilsona odnośnie do tej powieści, zgodnie z którym czytelnika ogarnia stopniowo nieprzyjemne wrażenie, że mianowicie tym, co skłoniło Charlesa Rydera do padnięcia na kolana, był nie tyle znak krzyża, co raczej szacunek dla tego starego przedstawiciela jednej z najstarszych rodzin angielskich. Zdaniem Almansi’ego, Wilson uwidoczniby jedynie fakt, że z biegiem czasu sam Waugh poczuł niechęć do tej swojej powieści.

Wszystko to jednak odczuwam faktycznie jako owoc spazmatycznego pragnienia ograniczenia i zdyskredytowania religijnego wymiaru powieści. Same te krytyki są całkowicie bezpodstawne także dlatego, że przeciwstawił się im zdecydowanie sam Waugh, który nie tylko że nie poczuł niechęci do swojej powieści, ale w przedmowie do jej kolejnego wydania w 1959 roku napisał: „Temat, jakim jest działanie łaski Bożej na różne postacie zespolone jednak wewnątrznie ze sobą, może być nawet zbyt pretensjonalny, ale tego nie żałuję”³ Tego więc Autor wcale nie żałuje.

3. Na koniec chciałbym powrócić do tego, co zaakcentowałem na początku: są trzy sposoby podchodzenia do wiary. Sposób typowy dla Grahama Greene, czyli wyraźny od pierwszego słowa (także poprzez

³ W swej *Przedmowie do Garści prochu* (Warszawa 1957) Jan Dobraczyński cytuje inne słowa E. Waughta: „Pan Wilson poczuł się dotknięty (ze swego stanowiska całkiem słusznie) tym, że do swojej powieści wprowadziłem Boga... Współcześni pisarze usiłują przedstawić ludzki umysł i ludzką duszę pomijając determinujący je fakt, że umysł i dusza należą do istoty będącej stworzeniem Bożym, uczynionym dla określonego celu. W moich przyszłych książkach pojawią się dwie rzeczy, które uczynią je niepopularnymi: większa troska o styl i usiłowanie pokazania człowieka bardziej pełnego, co oznacza tylko jedno: człowiek w związku z Bogiem” Tamże, s. 11. – Przyp. tłum., L. B.

wybór bohatera – księdza); potem mamy podejście Evelyny Waugh, u którego problematyka religijna kryje się gdzieś w głębi powieści aż do spowodowania wrażenia, jakoby rozmowa religijna była rozmową czysto świecką, i dopiero gdzieś na końcu opowiadania problematyka ta jawi się jako dzieło łaski. Jest to oczywiście podejście odmienne od ujęcia Grahama Greene, albowiem problematyka wiary jest tu przysłonięta. Niemniej, powieść Waugha uwypukla także trzeci sposób opowiadania o wierze. Osobiście jednak uważam, że gdyby nawet łaska nie zstąpiła na Lorda Marchmaina, powieść ta byłaby także powieścią katolicką.

A oto ten trzeci sposób: kiedy zakryto tak naprawdę wszystko, gdy imię Boga w ogóle się nie pojawia i kiedy mamy tylko to, co „negatywne”, to, o czym mówi Flannery O’Connor, który uznawał możliwość mówienia wyłącznie o złu, o niedoskonałości dobra, ale w świetle niepokoju o to Przed i Potem, który doprowadza ostatecznie do stawiania Pytań, których w powieści nie da się wyrazić z pewnością wiary.

A mówię to (i byłbym nieuczciwy, gdybym tego nie uczynił) dlatego, że cała ta refleksja wprowadza mnie osobiście, jako pisarza, nieuchronnie w dyskusję.

Napisałem nie tak dawno powieść rozpoczynającą się naganą, jaką główny bohater otrzymuje od starego kapłana na skutek tego, że nie przychodzi nigdy na Mszę św. Droga tego bohatera wiedzie potem przez rozproszenie i kończy się olbrzymim bólem. Jednak ta właśnie droga ma u swego końca promyk nadziei na głębokie zbawienie, które on poznaje podczas sprawowania Mszy świętej.

Sądzę mianowicie, że celebrowanie eucharystyczne stanowi prawdziwy i jedyny klucz, najgłębszą istotę orędzia chrześcijańskiego. Uderzyło mnie bardzo to, co powiedział 18 marca 2000 roku René Remond podczas długiego wywiadu: „Wiara w Jezusa Chrystusa jest kluczem do wszystkiego, wiara, że On jest Synem Bożym, wiara we Wcielenie i Zmartwychwstanie. Kto nie wierzy w boskość Chrystusa i w Jego zmartwychwstanie, sytuuje się poza chrześcijaństwem”

Pragnę osobiście przyłgnąć do tych słów jako „aspirujący chrześcijanin”, i to o wiele głębiej, aniżeli udało mi się to uczynić w tej mojej powieści.

Jako pisarz nie chciałbym jednak negocjować mojego „przed”, czyli tych wszystkich moich powieści, w których nie nazywałem Boga po imieniu, ale przedstawiałem tylko wątpliwości, nieobecność, pytanie dotyczące tego „przed” i „potem” oraz ułomności człowieka. Sądzę

bowiem, że także tamte powieści, moje i tych wszystkich pisarzy, którzy szukają, ale nie podają pewników, powinny znaleźć prawo obywatelstwa w miłości osoby je czytającej oraz uwagę ze strony Kościoła.

tłum. ks. **Lucjan Balter SAC**